

Wyobraź sobie miejsce, które jest martwe. Nie zachowały się żadne szczątki drzew czy budynków, po tych ostatnich wprawne oko rozpoznałoby linię wałów, fosy, kilka narysów fundamentów. Skały i kamienie, z których były wykonane, tworzyły jednolity, rozlały wał i lśniły szklistą czarną taflą, którą pokryły się w wyniku potwornej temperatury, jakiej zostały poddane. Była gładka, o lekko błękitnym połysku i tylko wyobraźnia podpowiadała, jakie szczątki stać się mogły częścią tej upiornej polityry. Buty przechodnia lekko chrzęściły po skruszonej skale, potęgując to wrażenie, przywoływały na myśl dźwięk deptanych kości. Ale żadnych kości tu nie było.

Sam krater był martwy całkowicie. Nie rosło tam nic, nie mówiąc o drzewach czy trawie, nie znalazłby się tam nawet jeden pęczek mchu ani porostu. Na dnie zebrała się woda, idealnie przejrzysta, sterylna, nieruchoma. Na powierzchni nie dało się dostrzec ani jednej zmarszczki.

Wzgórze zdawało się wydzielone ze świata żywych, przeniesione w jakiś sen, z którego wyprano emocje, wspomnienia, ślady i pamięć.

Może zatem swoistym błogosławieństwem było, że nikt tego widoku nie oglądał. Nie było tu pamiątkowych stelli, pomników, nagrobków tych, których ciała stopiły się z murami zamku, którego bronili. Wzgórze pokrywała mgła, cuchnąca, utrzymująca się niemal stale na dnie krateru, opar ten był zabójczy dla ludzi północy.

Zawahał się pomiędzy uczuciem rozczarowania, a ulgą. Nie widział Wzgórza od czasu wybuchu, a to było ponad dwadzieścia lat temu. Nie wiedział sam, czy chce to oglądać ponownie.

Zatrzymał się przy krawędzi.

Błękitno szary opar unosił się przed nim, w wyobraźni przybierając niemal osobową formę. Groził. Drwił.

Na skraju, gdzie opar nie docierał zwykle, ktoś postawił kilka tablic nagrobnych i stellę, jakie zwykle się stawiać na polach bitew, dla upamiętnienia bohaterów. Widniał na niej ryty runami czarny napis.

Sliabh Ard.

Przed jego oczami przewijały się obrazy. Noc w obozie pod Arden, znikający w ciemności zarys postaci posła, który przywiózł groźbę. Jaśniejące nocne niebo nad wzgórzami, oślepiająca poświata, w której znaczenie długo nie wierzyli. Potem wariacka nocna przeprawa przez Ranę, desperacki, wycieńczający bieg, do którego zagrzewała myśl, że to jednak nieprawda. Potem twarze ludzi, z szeroko otwartymi oczami, z których nikt nie chciał wytłumaczyć, co stało się z zamkiem. Ludzi z błękitnym symbolem ... Odruchowo przetarł czoło.

Kiedy próbował sobie przypomnieć choć jedną z twarzy bliskich, którzy tu polegli, obraz zacierał uporczywie pojawiający się w pamięci błękitny symbol Naznaczenia. Jakby pamięć o nich miała być anihilowana razem z ich ciałami i murami warowni...

- Podobno niebezpiecznie tu siedzieć, Bryn – głos starego hovgjetera wyrwał go z zamyślenia. Kettil był jednym z nielicznych, którzy wciąż się tak do niego zwracali – Ta mgła czasem ponoć stamtąd wypełza.

- Tak, słyszałem – mruknął w odpowiedzi. Buty pod stopami Kettila chrzęściły pokruszonym skalnym szklivem – Musi być nie tylko trująca, ale i halucynogenna, ludzie tu różne rzeczy ponoć widzą.

Umilkli obydwaj.

Dwadzieścia lat wspólnej walki zrobiły swoje, rozmowa nie była potrzebna. Kettil nie musiał komentować, że pamięta, jak opowiadali o Sliabh Ard, siedząc na wałach kontrfortu w Silberfjell. Pamiętał. Brynjolf nie musiał wspominać towarzyszy, których tu nie było. Wspominał ich wystarczająco często. Tych spod Arden. Spod Askaronu. Spod Silberfjell. Tych, którzy ginęli w obławach w lasach. Schwytanych i wydanych na rytualne egzekucje. Pozbawionych domu, sprzedanych w niewolę, wcielonych do armii, w której ginęli w imię najeźdźcy gdzieś daleko na obcej ziemi.

Ponury kalejdoskop twarzy, wspomnień, historii, z których żadna nie kończyła się dobrze. Gdyby miał przemawiać i przekonywać ludzi, pewnie wybrałby jakąś jedną. Może tego chłopca, który uciekł przed branką w lasy, pomogli mu wrócić do domu tylko po to, by się dowiedział, że domu już nie ma, a bliskich zabito lub sprzedano do kamieniołomów jako niewolników. Nie dodałby tylko, że chłopak rzucił się na miecz tego samego dnia...

Miał przecież prowadzić ludzi do walki. Do zemsty. Za tamtego chłopca, za dziewczynę spod Bon Carraigh, za Sliabh Ard, za zbezczeszczone ciała z kontrfortu, za upokorzenie kapitulacji, za ...

Niezawodny Kettil szturchnięciem wyrwał go z tego rozmyślenia.

- Czekają na ciebie.

Bryn zaśmiał się wymownie.

- Chcesz powiedzieć, że są gotowi? Że z nowych ochotników, zielonych jak łąki Kilkeranów, zrobiłeś w kilka tygodni prawdziwych żołnierzy?

- Taki był rozkaz, nie? Ingraine byłaby dumna – obydwaj zbiegali już w dół ścieżką na skrót, ścinającą liczne łagodne zakręty dawnego traktu zamkowego. U stóp wzgórza z oddali dało się dostrzec chorągwie i białe płachty namiotów. Warowny obóz, ufortyfikowany zasiekami, rozłożył się w zakręcie niewielkiej rzeki, lewego dopływu Rany. Na tle złotawego poblasku zachodu słońca łopotwały widoczne z daleka wergundzkie sztandary z białą gwiazdą i zieloną falą na środku, obok nich dumnie falował czarny gryf Tradamonitów na złotym tle. Brynjolf zdecydował pozostawić ten symbol, chociaż ród z Tradamonu nie rządził Tryntem już od kilku dziesięcioleci.

Na rozłożystych łąkach, pokrytych jeszcze zeszłoroczną, pożółkłą trawą, trwała jeszcze walka. Właściwie trening, ale zażartość walczących była niemal rzeczywista. Szczęk żelaza, głuche uderzenia w tarcze i hełmy niosły się doliną. Bryn przez chwilę przyglądał się, jak na kolejne okrzyki hevdinga hirdmani sprawnie przechodzą od zwartej ściany tarcz do luźnego szyku oskrzydłającego, by za chwilę równie sprawnie wydzielić oddział, szykujący się do szturm "taranem" na przeciwną drużynę, zastawiającą się właśnie podwójną ścianą tarcz.

Rzeczywiście, nie powiedziała, że ci ludzie ledwie parę miesięcy temu dopiero uczyli się, jak trzymać topór i tarczę. Fakt, że wśród nich było wielu doświadczonych hevdingów i hirdmanów, którzy w szeregach hirdu "Creag" przeszli już całkiem długi szlak bojowy. Creag, czyli Skala, stanowił jedno z dużych zgrupowań, na które Bryn podzielił ochotnicze siły, nie mogąc z oczywistych przyczyn odtworzyć hirdów rodowych. Początkowo były to partyzanckie, szkolone w ukryciu i uzbrajane oddziały, obecnie siły liczące ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, doświadczone walkami o zamki północnego i centralnego Tryntu, zdobywcy Bon Carraigh, Tamrock, Adhem, zawzięci, zdeterminowani i wyszkoleni. Nic dziwnego, że po skutecznej ofensywie wiosennej ochotnicy napływali do hirdów tak licznie, że zaczęli się zastanawiać nad formowaniem kolejnych jednostek.

Na widok dowódców, powracających z góry, hevdingowie okrzykiem przerwali manewry. Przez hałas walki przedarł się czysty, niski dźwięk rogów sygnałowych. Hirdy sprawnie zeszyły z pola, nie tracąc ani przez chwilę organizacji szyku. Znad nagrzanym wiosennym słońcem łąk Przedgórza unosił się mroźny opar, który niósł jeszcze mocniej dźwięki rogów z kolejnych umocnionych obozów wzdłuż gór rejonu Przełęczy Teralskich.

Gdzieś z przodu, spośród starych hirdmanów, dobiegł dźwięczny niski kobiecy głos. Najpierw śpiewał sam, by po pierwszych wersach połączyć się płynnie z tłem setek innych głosów. Jak deklaracja. Jak złożona przed laty obietnica.

*Kraju niedźwiedzia, kraju orla
Co błogosławisz nam od narodzin,
Choć dziś nad nami tylko chmury,
Wrócimy przecież do swych rodzin
Wrócimy tam, wrócimy w dom,
wrócimy w dom poprzez góry...*